

Wolność to wolność

Kryminał to kryminał

Próbka wydawnicza

Fragment początku książki: prolog, dzieciństwo, pierwsze decyzje, pierwszy przypał i pierwszy kontakt z aresztem.

Autor: G.G.

Nota dla wydawcy

To jest próbka robocza przygotowana do wstępnej oceny tonu, tematu i potencjału książki.
Pełny manuskrypt v6 obejmuje 12 części, 113 rozdziałów i epilog.

Część I. Beton i pierwsza pokusa

Prolog. Nie fascynuj się

Nie fascynuj się więziennym światem.

Nie fascynuj się gangsterką, bandytyzmem, kryminałem, tymi wszystkimi opowieściami, co teraz latają po internecie, w muzyce, w filmach, w bajkach dla małych dzieci. Nie fascynuj się tym, bo większość tego, co widzisz, to jest ładnie ubrana ściema. Ktoś coś usłyszał, ktoś coś przeczytał, ktoś sobie dopisał, ktoś zrobił z tego legendę, a później młody człowiek patrzy i myśli, że to jest droga.

To nie jest droga.

To jest kanał. Tylko na początku wygląda jak skrót.

Piszę to jako człowiek, który przesiedział w więzieniach 22,5 roku. Nie piszę tego po to, żeby ktoś powiedział: „Ale kozak”. Nie piszę tego po to, żeby małe dziecko czytało i chciało być takie samo. Jak po tej książce komuś zachce się bandytki, to znaczy, że nie zrozumiał. Ja chcę, żeby człowiek usiadł, przeczytał i powiedział: „Kurwa, nie idę tam. Nie warto”.

Bo nie warto.

Wolność to wolność. Kryminał to kryminał. Nigdy nie mylcie pojęć.

Na wolności możesz być biedny, możesz być zmęczony po pracy, możesz wkurwiać się na szefa, na rachunki, na ludzi, na życie. Ale wychodzisz, kiedy chcesz. Idziesz do sklepu, kiedy chcesz. Kładasz się spać przy kobiecie, przy dziecku, we własnym łóżku. Możesz otworzyć okno. Możesz zamknąć drzwi od środka. Możesz zjeść normalnie, umyć się normalnie, przejść się normalnie. To są rzeczy, których człowiek nie szanuje, dopóki mu ich nie zabiorą.

W kryminale nawet dzień nie jest twój.

Nie twoje są drzwi, bo otwiera je klawisz. Nie twoja jest godzina, bo dzwonek mówi, kiedy masz wstać. Nie twoja jest droga, bo jak cię wyczytają, to bierzesz mandżur i jedziesz, choćbyś nie wiedział dokąd. Nie twoje jest ciało, bo ktoś może ci kazać stanąć do kipsiszu, rozebrać się, odwrócić, czekać. Nie twoje są nerwy, bo wszystko słyszy cela: kłapę, kroki, krzyk, misę, kaszel, czyjś płacz po cichu, chociaż nikt się do tego nie przyzna.

Ludzie lubią słuchać o zasadach, o bajerze, o grypsowaniu, o gitach, o starych czasach. Będę o tym pisał, bo to było częścią mojego życia. Byłem gitem pod koroną. Tak mnie ukształtował kryminał i tak sam siebie wtedy rozumiałem. Ale nie będę z tego robił bajki. Bo za każdym

takim słowem stały lata, krew, upokorzenie, strach, samotność i rodzina, która cierpiała na wolności, a ty udawałeś, że jesteś twardy.

Największy przekręt w życiu bandyty nie jest na cudzych pieniądzach. Największy przekręt jest na samym sobie. Człowiek sobie wmawia, że żyje szybko, że jest sprytny, że ma respekt, że nie jest frajerem, że robi swoje. A później budzi się po latach i widzi, że inni szli do pracy, zakładali rodziny, budowali domy, uczyli się fachu, rozwijali się, a on liczył apele, transporty, wokandy, sankcje, wyroki, warunkowe, przepustki, odmowy, zażalenia i dni do końca.

Ja też mogłem być w tym miejscu, w którym jestem teraz, bez tego wszystkiego.

Mogłem pracować, mogłem wcześniej założyć normalne życie, mogłem wcześniej zrozumieć, że prawdziwy szacunek nie jest wtedy, kiedy ktoś się ciebie boi. Prawdziwy szacunek jest wtedy, kiedy twoje dziecko patrzy na ciebie i nie musi pytać, kiedy znowu znikniesz. Kiedy kobieta nie musi czekać pod zakładem karnym albo na widzeniu. Kiedy matka nie musi udawać, że jest mocna, bo syn siedzi, a ona po nocach płacze.

Moja matka była ciepłą, dobrą, pracowitą kobietą. Nie wiedziała wszystkiego. Ja ją czarowałem, kłamałem, udawałem. Ona swoje czuła, ale nie pokazywała mi łez. Dopiero po latach zrozumiałem, że człowiek w przestępstwie nie krzywdzi tylko siebie. Krzywdzi wszystkich dookoła, tylko jest zbyt głupi, zbyt młody albo zbyt zapatrzony w siebie, żeby to zobaczyć.

Dlatego ta książka jest dla młodych.

Nie po to, żebyście mnie podziwiali.

Po to, żebyście nie musieli mnie rozumieć z własnego doświadczenia.

Bo jak już zrozumiesz kryminał od środka, to znaczy, że jest za późno.

Rozdział 1. Podwórko z betonu

Moje podwórko to były bloki, ławki i beton.

Nic wielkiego, żadna legenda, żadne filmowe dzieciństwo. Zwykłe osiedle, zwykłe klatki, zwykli ludzie, zwykłe dzieciaki, które całe dnie siedziały na dworzu, bo nie było wtedy internetu, telefonów, komputerów i tego całego świata, który teraz każdy nosi w kieszeni. Jak chciałeś kogoś spotkać, to wiedziałeś, gdzie jest. O tej godzinie pod blokiem, o tej na boisku, o tej na ławce, o tej pod sklepem. Nie trzeba było pisać. Nie trzeba było dzwonić. Człowiek po prostu wychodził i życie już tam było.

Klatka miała swój zapach. Zimą mokre kurtki, pył z wycieraczek, papierosy, czasem obiad, który leciał z któregoś mieszkania. Latem kurz, nagrany beton i otwarte okna, przez które było słychać całe osiedle. Ktoś się kłócił, ktoś słuchał radia, ktoś wołał dziecko, ktoś trzepał

dywan, ktoś stał pod sklepem. Teraz ludzie mają słuchawki w uszach i każdy idzie osobno. Wtedy wszystko było wspólne, nawet jak nikt tego tak nie nazywał. Wspólny hałas, wspólny blok, wspólna bieda, wspólne patrzenie sobie na ręce.

Nie było tak, że człowiek siedział w domu i się nudził przed ekranem. Dom był od spania, jedzenia i czasem od kary. Życie było na dole. Jak matka nie widziała cię chwilę, to krzyczała przez okno. Jak ktoś dostał w łeb, to za chwilę cała klatka wiedziała. Jak piłka wpadła komuś do ogródka albo na balkon, to zaczynały się negocjacje. Dla dziecka to był cały system. Człowiek uczył się ludzi, zanim jeszcze umiał nazwać, czego się uczy.

Mieliśmy swoje boisko. Takie nasze, zrobione własnymi rękami, bardziej z potrzeby niż z wygody. Kawałek miejsca, trochę kombinacji, dwie bramki, piłka i cały dzień mógł lecieć. Tylko że zawsze komuś przeszkadzaliśmy. Jak graliśmy, ludzie nas przepędzali. Bo hałas, bo szyby, bo trawnik, bo piłka, bo dzieciaki. A my i tak wracaliśmy, bo gdzie mieliśmy iść?

Graliśmy w piłkę najwięcej.

Był berek, był dziad, były różne zabawy, ale piłka była królową podwórka. Składy robiło się mieszane, kto był, ten grał. Nikt nie miał profesjonalnych butów, koszulek, szkólek, trenerów, diet, odżywek i całej tej dzisiejszej otoczki. Była piłka i chęć, żeby biegać do zmroku. Czasami matki wołały przez okna na obiad, czasami człowiek udawał, że nie słyszy, bo akurat był mecz i nie można było zejść z boiska. Dziś to brzmi normalnie, ale wtedy to był cały świat.

Boisko uczyło też hierarchii, tylko wtedy się tego nie rozumiało. Ten starszy wybierał skład, tamten zawsze chciał być napastnikiem, ktoś stał na bramce, bo był najmłodszy, ktoś się obrażał, ktoś wracał po pięciu minutach. Były kłótnie, były faule, były pretensje, czasem bójkę, ale zaraz znowu graliśmy. Nie było sądów, psychologów i rozmów godzinami. Dzieciaki rozwiązywały swoje sprawy po dziecięcemu: raz głupio, raz brutalnie, raz normalnie. I przez to człowiek szybko łapał, że trzeba umieć się postawić, ale też trzeba umieć wrócić do gry.

Tylko że ta sama lekcja, która na boisku może pomóc, na ulicy potrafi skrócić w złą stronę. „Nie daj się” jest dobre, kiedy ktoś cię popycha bez powodu. Ale jak „nie daj się” zamieni się w „nigdy nie przyznawaj się do błędu”, „nie słuchaj nikogo”, „idź na ostro”, to już zaczyna się inna droga. Ja wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Dla mnie wszystko było jednym podwórkiem.

W domu nie było bogactwa.

Moja mama pracowała dużo. Była łagodna, ciepła, pracowita. Pracowała w szpitalach, w przedszkolach, w różnych miejscach, gdzie człowiek robił swoje za małe pieniądze i jeszcze musiał się cieszyć, że ma pracę. Czasami przynosiła jedzenie z pracy, bo wtedy tak się robiło. Nikt z tego nie robił afery. Mało się zarabiało, w sklepach nie było tak jak teraz, że wchodzisz i bierzesz co chcesz. Jak coś było, to się brało. Jak można było coś przynieść, to się przynosiło. Człowiek kombinował, ale jeszcze nie w tym złym sensie. Kombinował, żeby dom jakoś szedł.

Pamiętam takie zwykłe rzeczy, które po latach robią się większe niż wszystkie grube historie. Mama wracała zmęczona, a i tak pytała, czy jadłem. Czasem coś przyniosła zawinięte, czasem jakiś obiad, czasem coś słodkiego, jak się udało. Nie robiła z tego święta. Po prostu kładła na stół i już. Wtedy człowiek bierze, je i leci dalej. Dopiero później rozumie, że ktoś musiał o tym pamiętać przez cały dzień. Że ktoś, kto sam był zmęczony, jeszcze niósł w głowie twoje głodne brzucho.

Nie chcę robić z biedy wymówki. Bieda nie kradnie za człowieka. Bieda nie zakłada kajdanek komuś innemu na ręce. Bieda nie podejmuje decyzji. Ale bieda potrafi zrobić w głowie miejsce na głupie myśli. Jak od małego widzisz, że matka ciężko pracuje, a pieniędzy dalej nie ma, to zaczynasz myśleć, że uczciwość jest dla frajerów. To jest kłamstwo, ale młody człowiek może w nie uwierzyć, bo widzi tylko koniec miesiąca, a nie całe życie.

Ojca właściwie nie miałem.

Widziałem go trzy razy na oczy. Siedział w zakładach karnych. Tyle. Nie będę tu robił wielkiej psychologii, że dlatego wszystko się stało. Nie lubię takich prostych tłumaczeń. Wielu ludzi nie miało ojca i nie poszło kraść. Wielu miało ojca i też poszło. Życie nie jest takie proste, że bierzesz jeden brak i robisz z niego usprawiedliwienie na wszystko. Ale cień tego był. Człowiek dorastał bez ojca, a gdzieś obok była świadomość, że on siedzi. Kryminał nie był dla mnie abstrakcją z filmu. On był gdzieś w tle, zanim jeszcze sam zobaczyłem klapę od środka.

Nie miałem z nim normalnych rozmów, normalnego siedzenia przy stole, normalnego „synu, chodź, pokażę ci”. Nie było tego. Nie było faceta, który wziąłby mnie za kark, kiedy trzeba, albo pogadał, kiedy człowiek zaczynał się wyginać w złą stronę. Czy bym go posłuchał? Nie wiem. Może nie. Może bym i tak poszedł swoje. Ale brak ojca to nie jest tylko brak osoby. To jest brak pewnego hamulca, brak spojrzenia, brak kogoś, przed kim czasem człowiekowi głupio.

Ojciec siedział, więc kryminał był gdzieś w rodzinnej historii. Taki fakt, który niby sobie leży z boku, ale dziecko go słyszy. Nie rozumie do końca, ale słyszy. Później, kiedy sam wchodzisz w świat przestępstwa, ten fakt nie wygląda już jak wielka przepaść. Wygląda jak coś znanego z opowieści. I to też jest niebezpieczne, bo jak coś jest oswojone, mniej straszy.

Jako dzieciak byłem normalny.

Spokojny, może czasami uparty. Jak między dzieciakami były bijatyki, to były, jak to między dzieciakami. Ktoś kogoś popchnął, ktoś komuś zabrał piłkę, ktoś się obraził, ktoś dostał w łeb, za chwilę znowu graliśmy. Nie byłem żadnym urodzonym bandytą, żadnym małym potworem z bloku. I to jest ważne, bo młodzi często myślą, że do kryminału idą tylko jacyś inni, gorsi, od początku skazani. Nie. Czasami idzie zwykły chłopak, który nie widzi momentu, kiedy skreca.

Na podwórku nikt mi specjalnie nie imponował.

Nie miałem marzenia, że będę bogaty, że będę miał samochody, złoto, kobiety, respekt i nie wiadomo co jeszcze. Nie chodziłem po betonie z planem, że zostanę przestępcą. Po prostu żyłem jak dzieciak z tamtych czasów. Piłka, koledzy, ławka, blok, mama w pracy, brak pieniędzy, brak ojca, zwykłe życie.

I właśnie dlatego ta historia jest niebezpieczna.

Bo zło rzadko przychodzi z orkiestrą. Nie staje przed tobą i nie mówi: „Dzień dobry, teraz zmarnuję ci 22,5 roku”. Ono przychodzi jak okazja. Jak żart. Jak starszy z ławki. Jak otwarte okno. Jak pierwszy raz, po którym nic jeszcze nie rozumiesz.

Patrzę dziś na tego chłopaka z podwórka i nie nienawidzę go. Nie umiem. On jeszcze nie wiedział. On myślał, że życie jest proste, że jak czegoś nie ma, to trzeba sobie wziąć, jak jest okazja, to trzeba skorzystać, jak starsi mówią, że tak się robi, to pewnie wiedzą. Patrzę na niego nawet z jakimś ciepłem, bo widzę dzieciaka, nie bandytę.

Ale chciałbym mu wtedy stanąć na drodze.

Nie z kazaniem, bo kazania do małych nie trafiają. Stanąłbym przed nim i pokazał mu zdjęcie siebie po latach. Twarz zmęczoną kryminałem. Ręce po kratkach. Oczy człowieka, który widział za dużo cudzego bólu i własnej głupoty. Pokazałbym mu matkę na widzeniu, kobietę czekającą, dziecko bez ojca, świadectwo zwolnienia w ręku i domofon, pod którym matka pyta: „Uciekłeś?”.

Pokazałbym mu też te zwykłe dni, których się nie opisuje w żadnych opowieściach o gangsterce, bo są za mało efektowne. Rano pobudka, apel, miska, brudna cela, czekanie. Dzień podobny do dnia. Nie wielka akcja, tylko nuda, która zjada człowieka od środka. Pokazałbym mu, że kryminał to nie jest ciąg legend i mocnych scen. To są tysiące godzin, w których nic nie możesz. Tysiące razy, kiedy patrzysz w ścianę, w drzwi, w kraty, w kalendarz, w swoje ręce.

Młodzi lubią słuchać o wejściach, ucieczkach, pobiciach, znanych nazwiskach, zasadach. A ja bym mu pokazał czekanie. Bo czekanie jest prawdziwsze od legendy. Czekasz na widzenie. Czekasz na paczkę. Czekasz na list. Czekasz na transport. Czekasz na wokandę. Czekasz na koniec kary. Czekasz, aż życie zacznie się znowu. I nagle widzisz, że życie nie czekało razem z tobą. Ono szło.

Może wtedy by zrozumiał.

A może nie.

Bo młody człowiek często musi dotknąć ognia, żeby uwierzyć, że parzy. Tylko że kryminał nie parzy jak zapalka. Kryminał pali lata.

Rozdział 2. Pierwszy zarobek po złej stronie

Pierwsze mieszkanie nie było dla mnie wtedy żadnym wielkim przeżyciem moralnym.

Piszę to szczerze, choć wiem, jak to brzmi. Nie będę po latach robił z siebie świętego i opowiadał, że po wszystkim płakałem w poduszkę, że sumienie mnie gryzło, że od razu zrozumiałem krzywdę ludzi. Nie. Nie czułem strachu, wstydu, dumy ani wyrzutów sumienia. Byłem młody i głupi, ale nie w tym sensie, że nie umiałem liczyć. Właśnie liczyłem za dobrze. Patrzyłem na świat przez pieniądze, które nagle można było mieć.

Kradzież potraktowałem jak zarobek.

To jest najgorsze zdanie w tym rozdziale, ale prawdziwe. Nie jak zabawę, nie jak przypadek, tylko jak źródło pieniędzy. Po złej stronie, ale wtedy tego tak nie nazywałem. Człowiek nie mówi sobie: „Teraz będę niszczył ludziom życie”. Człowiek mówi sobie: „Zarobiłem”. I to jest pułapka. Bo jak nazwiesz przestępstwo zarobkiem, to od razu łatwiej ci je powtórzyć.

Słowa mają znaczenie. Jak powiesz „ukradłem”, to gdzieś z tyłu głowy jest człowiek, któremu ukradłeś. Jak powiesz „zarobiłem”, to zostaje tylko kasa. Tak się właśnie człowiek oszukuje. Zmieniasz nazwę i nagle brud wygląda czyściej. Nie mówisz „skrzywdziłem ludzi”, mówisz „był temat”. Nie mówisz „wszedłem komuś w dom”, mówisz „robotą”. Nie mówisz „żyję z cudzego”, mówisz „radzę sobie”.

I tak powoli język robi z ciebie kogoś innego.

Była adrenalina.

Tego też nie będę udawał, że nie było. Był zapach mieszkań, inny w każdym domu. Była cisza, w której słyszysz własne serce. Było zbieranie sprzętu, patrzeć, co ma wartość, potem wynoszenie tego z głową pełną myśli, żeby tylko się udało. Później sprzedaż. Pieniądze. Nagle w rękę coś, czego w domu brakowało.

Nie będę opisywał tego jak instrukcji, bo to nie jest poradnik dla złodzieja. Kto szuka instrukcji, niech zamknie tę książkę. Ja piszę o mechanizmie, nie o sposobie. Mechanizm był prosty i przez to groźny: bieda, okazja, adrenalina, szybka kasa, brak natychmiastowej kary. I człowiek zaczyna myśleć, że jest sprytny.

Najgorsze jest to „brak natychmiastowej kary”. Jak dotkniesz gorącej blachy, od razu zaboli i już wiesz. A tutaj często na początku nie boli. Udało się raz, drugi, trzeci. Człowiek wraca, śmieje się, opowiada, liczy pieniądze. Nikt go nie złapał, nikt nie stanął w drzwiach, nikt nie powiedział „koniec”. I młody łeb wyciąga najgłupszy wniosek na świecie: że skoro nie dostał kary od razu, to może jej nie będzie.

Kara była.

Tylko szła wolniej.

Pierwsze pieniądze pachniały Coca-Colą, czekoladą, Pewexem, dresami.

Dziś ktoś może się śmiać: co to za marzenia, cola i czekolada? Ale wtedy to było coś. W sklepach nie było tak jak teraz. Nie wchodziłeś i nie wybierałeś sobie z półek, jakby świat był twój. Pewex, Baltona, rzeczy za dolary, ubrania, buty, słodczyce - to miało smak innego życia. I nagle młody chłopak z podwórka mógł to mieć.

Najgorsze było porównanie.

Patrzyłem na mamę, która pracowała całymi dniami, ciepła, dobra kobieta, i zarabiała mało. A ja po jednym wieczorze mogłem mieć równowartość kilku, czasem wielu jej wypłat. Młody łeb nie widzi wtedy, że te pieniądze są brudne krzywdą. Młody łeb widzi liczby. Widzi, że matka haruje, a ty w jedną noc masz więcej. I jeśli nikt cię wtedy nie zatrzyma, jeśli sam nie masz w środku hamulca, to zaczynasz iść dalej.

To porównanie potrafi zatruć człowieka. Bo nagle praca wygląda jak głupota. Mama wstaje, idzie, wraca zmęczona, liczy pieniądze, a ty przychodzisz z ulicy i masz więcej. Tylko że to jest porównanie oszusta z człowiekiem uczciwym. Uczciwa praca buduje wolność powoli. Przestępstwo daje pieniądza szybko i zabiera wolność później. Tego później wtedy nie widziałem.

Człowiek trzyma banknoty i myśli, że trzyma życie za mordę.

A to życie trzyma jego, tylko jeszcze delikatnie.

Ja nie miałem wtedy hamulca.

Nie dlatego, że byłem odważny. Nie dlatego, że byłem twardy. Tylko dlatego, że byłem głupi na konsekwencje. Nie widziałem ludzi po drugiej stronie drzwi. Nie widziałem człowieka, który wraca do mieszkania i widzi, że ktoś mu wszedł w życie. Nie widziałem kobiety, która traci pamiętki. Nie widziałem dziecka, któremu znika coś ważnego. Widziałem fanty.

Tak działa bandytyzm na początku: zawęża wzrok.

Widzisz tylko to, co możesz wziąć. Nie widzisz tego, co zabierasz.

Po latach dopiero przychodzi obraz drugiej strony. Wtedy nie myślałem o tym, że ktoś może wrócić z pracy, otworzyć drzwi i zobaczyć, że obcy człowiek był w jego mieszkaniu. Nie chodzi tylko o telewizor, radio, biżuterię czy pieniądze. Chodzi o to, że ktoś naruszył twoje miejsce. Dom ma być bezpieczny. Jak ktoś cię wchodzi do domu, to zabiera coś więcej niż przedmioty. Zabiera spokój.

Ja wtedy tego nie widziałem. Dziś widzę. I nie mówię tego, żeby grać świętego po czasie, bo święty nie jestem. Mówię, bo to jest prawda, której młody złodziej nie chce znać. On chce znać cenę sprzętu, a nie cenę czyjegoś strachu.

Na podwórku byli starsi. My mówiliśmy na nich wujkowie. Dziś powiedziałbym prościej: recydywa, menele, ludzie z ławki, co siedzieli, pili i mieli swoje historie z kryminału. Wtedy dla młodych mogli wyglądać jak ktoś, kto coś wie. Jak ktoś, kto pomoże, jak ktoś ci coś zrobi. Jak ktoś, kto zna świat, do którego ty dopiero zagładasz.

Oni nie musieli nas długo namawiać.

To też trzeba uczciwie powiedzieć. Nie było tak, że przyszli źli ludzie i siłą zrobili ze mnie złodzieja. Oni pokazali drzwi, ale ja przez nie przeszedłem. Dali język, dali pewność, dali parę zasad z podwórka i kryminału, dali poczucie, że jak będziesz milczał, jak nie pękiesz, jak będziesz „swój”, to dasz radę. Dla małolata to bywa mocniejsze niż sto rozmów w domu.

Tylko że oni nie dali rachunku.

Nie powiedzieli: słuchaj młody, za to przyjdą sankcje, areszty, transporty, wpierdol, enki, sprawy, wyroki, matka na widzeniu, kobieta czekająca latami, dziecko bez ciebie, dwadzieścia parę lat z życia wyjęte. Nikt tak nie mówi, kiedy wciąga młodego. Mówi się: zarobisz. Mówi się: nie pękaj. Mówi się: nic nie mów. Mówi się: jesteś swój.

Dlatego dziś, jak słyszę, że jakiś starszy mówi do młodego „chodź, zarobisz”, to od razu pytam: jak?

Jak do pracy - idź. Uczciwie. Choćby było ciężko. Choćby ręce bolały. Choćby szef wkurwiał. Choćby pieniądze na początku były małe. Idź, bo po pracy wrócisz do domu.

Jak do kradzieży - uciekaj.

Nie dyskutuj, nie udawaj twardego, nie sprawdzaj, czy dasz radę. Uciekaj, bo to „zarobisz” potrafi kosztować więcej, niż człowiek ma do zapłacenia. Ja zapłaciłem latami. Moja matka zapłaciła łzami. Moja rodzina zapłaciła czekaniem. I żadne pieniądze z tamtych czasów nie były tego warte.

Kiedy pierwszy raz poczułem, że nie da się łatwo wycofać?

Nie było jednego momentu z muzyką w tle. To po prostu wciągało. Człowiek porównywał: miesiąc roboty za grosze albo jedna noc po złej stronie i pieniądze w ręku. I młody łeb mówił: po co mam harować? Tylko młody łeb nie doliczał ceny. Nie liczył adwokatów, wyroków, straconych lat, zdrowia, strachu, samotności, zniszczonych relacji. Nie liczył matki.

A to ona była w tym wszystkim najczystsza.

Rozdział 3. Matka nic nie wiedziała

Mama nic nie wiedziała.

Albo inaczej: nie wiedziała tego, co ja robię naprawdę. Bo matka zawsze coś czuje. Może nie znać szczegółów, może nie wiedzieć, gdzie byłeś, z kim, po co i za ile, ale czuje, że coś jest nie tak. Tylko matka często wypiera prawdę, bo prawda o dziecku potrafi być cięższa niż kamień.

Ja ją czarowałem.

Nie mówiłem: „Mamo, jestem złodziejem”. Mówiłem, że kolega pożyczył, że coś załatwiłem, że gdzieś byłem, że nic się nie dzieje. Człowiek kłamie najpierw innym, potem sobie. W domu udaje normalnego, na podwórku udaje twardego, przy starszych udaje, że wszystko rozumie, a w środku nawet nie wie, że już się gubi.

Mama była dobra.

To nie jest zdanie dla ozdoby. Ona była naprawdę dobra. Łagodna, ciepła, pracowita. Taka kobieta, która robiła swoje, nosiła na sobie dom, pracę, zmęczenie i jeszcze potrafiła myśleć o jedzeniu dla dziecka. Pracowała w szpitalach, przedszkolach, przynosiła coś z pracy, bo wiedziała, że w domu się przyda. Nie miała lekko. A ja, zamiast to widzieć, patrzyłem na szybkie pieniądze.

Dziś to boli.

Wtedy nie bolało, bo wtedy byłem za głupi, żeby rozumieć. To jest też prawda o młodości po złej stronie: człowiek myśli, że jak matka nie wie, to jej nie krzywdzi. A krzywdzi. Każdym kłamstwem, każdym zniknięciem, każdym widzeniem, każdym telefonem, każdym strachem, który ona dusi w sobie, żeby tobie nie pokazać.

Na widzeniach zawsze mnie wspierała.

Nie pokazywała, że płacze. Nie robiła scen, nie rozkładała się przede mną na kawałki. Może dlatego długo nie rozumiałem, ile ją to kosztuje. Jak matka jest mocna przy synu, to syn głupi myśli, że ona sobie radzi. A ona może po wyjściu z widzenia pękać w środku, tylko ty tego nie widzisz, bo siedzisz po drugiej stronie.

Najbardziej bolała ją chyba bezsilność.

Bo co może zrobić matka, kiedy syn idzie w złą stronę i jeszcze kłamie? Może prosić, może płakać po cichu, może nosić paczki, może jeździć na widzenia, może mówić „zmień się”, może czekać. Ale nie wejdzie za ciebie do twojej głowy. Nie odsiedzi za ciebie wyroku. Nie wyjmie ci z rąk głupoty, jeśli ty trzymasz ją mocno jak zdobycz.

Po latach dopiero zrozumiałem, że nie krzywdziłem tylko siebie.

To zdanie powinno być napisane wielkimi literami na każdej klatce, gdzie małolat myśli, że jest cwany. Nie krzywdzisz tylko siebie. Krzywdzisz matkę, ojca jeśli jest, kobietę, dziecko, rodzeństwo, ludzi, których okradasz, ludzi, którzy później się ciebie boją, ludzi, którzy czekają, ludzi, którzy odbierają telefony z informacją, że znowu cię zamknęli.

Ja tego wtedy nie widziałem.

Pamiętam, jak po pierwszych dłuższych latach wyszedłem. Wyszedłem z sądu, bo uchylili mi sankcję. Byłem wtedy już po enkach, w kadzieniakach. Pytałem, czy zawiozą mnie na Białolękę po moje rzeczy osobiste. Powiedzieli, że nie. Dali świadectwo zwolnienia i poszedłem.

A wcześniej mówiłem mamie na widzeniach, że ucieknę.

Więc kiedy stanąłem pod domem i zadzwoniłem domofonem, ona odebrała:

- Kto tam?

Powiedziałem:

- No ja.

A ona:

- Uciekłeś?
- Nie. Wyszedłem.

Pokazałem jej papier.

To była wolność, ale jakaś dziwna. Nie filmowa. Bez muzyki, bez wielkiego wejścia, bez triumfu. Stałem jak chłopak, który wrócił, a jednocześnie nie wrócił, bo głowa była jeszcze tam. Kadzieniaki, świadectwo zwolnienia, domofon, matka, która zamiast pierwszej radości ma w sobie pytanie, czy syn znowu coś zrobił.

Ucieszyła się.

Matka zawsze najpierw się cieszy, że dziecko żyje i jest pod drzwiami. Mówiła, że dobrze, że jestem, że może teraz praca, może teraz inaczej. A ja wtedy, mówiąc brzydko, wywaliłem na pracę. Nie przyjąłem tej szansy. Nie zrozumiałem, co dostałem. Wolność wziąłem jak przerwę między jednym a drugim błędem.

I to jest coś, czego młody człowiek musi się bać.

Nie tylko kryminału. Ma się bać tego momentu, kiedy dostaje szansę i jej nie widzi.

Bo ja miałem wiele takich momentów. Matka, która czeka. Dom, do którego wracam. Papier zwolnienia. Możliwość pracy. Możliwość życia inaczej. I człowiek niby to widzi, ale w środku dalej jest podwórko, szybka kasa, koledzy, temat, adrenalina. Dopiero po latach rozumie, że życie dawało mu wyjścia, tylko on wybierał wejścia z powrotem.

Mamo, jeśli kiedyś te słowa będą czytane jako książka, to chcę, żeby to zostało.

Przepraszam cię za ból i łzy, które wylewałaś, a ja o tym nie wiedziałem. Przepraszam za każde widzenie, na którym musiałaś być mocna. Za każde kłamstwo, które połknęłaś, bo chciałaś wierzyć synowi. Za każdy dzień, kiedy myślałaś, że może teraz będzie inaczej, a ja znowu szedłem w to samo.

Nie piszę tego, żeby się wybielić.

Nie da się wybielić straconych lat.

Piszę, bo może jakiś młody człowiek ma jeszcze matkę w domu i jeszcze może nie zrobić jej tego, co ja zrobiłem swojej.

Jeśli tak, to niech odłoży tę całą gangsterkę, zanim matka nauczy się płakać po cichu.

Bo matka nie płacze zawsze tak, żeby syn zobaczył.

Czasem płacze w kuchni, kiedy zmywa talerz po obiedzie, którego nie zjadłeś, bo cię nie ma. Czasem płacze w autobusie po widzeniu i odwraca głowę do szyby. Czasem płacze w nocy, żeby rano mieć normalną twarz. Czasem w ogóle już nie płacze, tylko robi się cicha, bo człowiek nie ma łez bez końca.

Ja na widzeniach widziałem ją mocną. A teraz rozumiem, że ta moc mogła być dla mnie, nie dla niej. Ona nie chciała mnie dobić swoim bólem, więc go chowała. I to jest coś, co mnie po latach najbardziej gryzie. Że ja siedziałem i udawałem twardego, a prawdziwa twardość była po jej stronie, bo ona musiała żyć normalnie z nienormalnym ciężarem.

Nie ma większej głupoty niż młody chłopak, który myśli, że jest sam w swoich decyzjach.

Nie jesteś sam. Każde twoje głupie wejście idzie za tobą do domu. Siada przy stole z twoją matką. Kładzie się spać obok twojej kobiety. Rośnie razem z twoim dzieckiem. Nawet jak ty jesteś za kratą, twoje decyzje chodzą po wolności i męczą ludzi, których kochasz.

Rozdział 4. Wujkowie z ławki

Na każdym podwórku byli tacy ludzie, których dzieciaki znały, chociaż nikt im ich oficjalnie nie przedstawiał.

Siedzieli na ławkach, pili, gadali swoje historie, czasem znikali na dłużej, potem wracali. Dla dorosłych byli pewnie problemem, dla milicji albo później policji znanymi twarzami, dla nas małych było po prostu „wujkami”. Mówiło się: wujku, podaj piłkę. Wujku, która godzina? Wujku, ktoś się do nas przypierdala. I oni byli.

Dzisiaj bym powiedział prosto: recydywa, menele, ludzie po kryminałach, każdy z jakimś swoim bagażem, swoim piciem, swoimi sprawami. Wtedy tego tak nie widziałem. Wtedy byli starsi, znali życie, znali ludzi, wiedzieli, gdzie coś sprzedać, gdzie coś załatwić, komu nie podskakiwać, z kim pogadać. Dla młodego chłopaka taka wiedza wygląda jak siła.

Teraz wiem, że to często nie była siła, tylko zmęczenie przebrane za mądrość. Człowiek po kryminałach potrafi opowiadać tak, że małolat słucha z otwartą głową. Sypie tekstami, śmieje się z klawiszy, z policji, z frajerów, z wyroków, jakby to wszystko było anegdotą spod sklepu. A przecież jakby spojrzeć uczciwie, to siedział na ławce, pił, nie miał normalnego życia i wracał ciągle w to samo. Tylko młody tego nie widzi. Młody słyszy bajkę, nie widzi rachunku.

Ci „wujkowie” mieli swoje twarze, swoje głosy, swoje sposoby gadania. Jeden opowiadał, jak to kiedyś było twardo. Drugi, że teraz młodzi to już nic nie wiedzą. Trzeci zawsze miał kogoś znać, gdzieś być, coś załatwić. Dla nas to był teatr dorosłego świata. Nikt nam nie mówił: patrzcie dzieciaki, to jest droga do zmarnowania życia. Wręcz przeciwnie. W tym gadaniu była taka trucizna, że kryminał wyglądał jak szkoła charakteru, a nie jak śmietnik lat.

Pierwsze fanty poszły przez takich ludzi.

I znowu: nie będę tu robił instrukcji, gdzie, jak, komu, za ile. Nie o to chodzi. Chodzi o mechanizm. Młody coś przynosi, starszy bierze, sprzedaje, daje kasę, mówi, że jak będzie coś jeszcze, to można przyjść. I w tym momencie robi się most. Z jednej strony dzieciaki z podwórka, z drugiej świat recydywy. Niby tylko sprzedaż rzeczy, niby tylko pomoc, niby tylko rozmowa. A tak naprawdę ktoś ci pokazuje, że twoje złe zachowanie może mieć rynek.

To jest moment, w którym człowiek powinien dostać po łbie od życia, zanim życie da mu po łbie naprawdę.

My nie dostaliśmy.

Dostaliśmy pieniądze.

Pieniądze dla małolata z biedniejszego domu mają swoją magię. Jak nigdy nie miałeś, a nagle masz, to zaczynasz czuć się inaczej. Nie dlatego, że jesteś wielkim panem. Po prostu możesz wejść do sklepu i nie liczyć każdej złotówki. Możesz kupić colę, czekoladę, dres, buty, coś, co wcześniej było za szybko. Człowiek zaczyna się uczyć złej matematyki: mniej strachu niż zysku, mniej konsekwencji niż przyjemności. Tylko że w tej matematyce zawsze brakuje najważniejszej rubryki: kara przyjdzie później.

Wujkowie zaczęli nam tłumaczyć zasady.

Nie żadne prawo, nie moralność, nie „nie rób tak, bo skrzywdzisz ludzi”. Tylko zasady świata, do którego sami należeli. Jak złapią, nie przyznawać się. Jak będą straszyć, nie wierzyć. Jak powiedzą, że kolega już wszystko powiedział, nie pękać. Jak trafisz do kryminału, grypsować. Szanować starszych. Nie sprzedawać. Trzymać język za zębami.

Na początku człowiek bierze takie zasady jak tarczę. Myśli: dobrze, teraz już wiem. Jak mnie złapią, będę milczał. Jak pojedę, będę grypsował. Jak ktoś mnie sprawdzi, dam radę. Ale nikt nie mówi, że najlepsza zasada brzmi: nie rób tak, żebyś musiał sprawdzać, czy dasz radę. Nikt z ławki nie sprzeda ci takiej mądrości, bo ona by im zepsuła całą bajkę.

To jest właśnie fałszywa męskość. Nie polega na tym, że pracujesz, odpowiadasz za dom, za matkę, za kobietę, za dzieci, za słowo. Tylko na tym, że umiesz milczeć na komendzie, umiesz dostać w łeb, umiesz nie pęknąć w celi. Ja nie mówię, że to nic nie znaczyło w tamtym świecie. Znaczyło. Ale to był zły świat. A zasady złego świata nawet jak są twarde, to prowadzą do złych miejsc.

Dla dorosłego człowieka to brzmi jak szkoła przestępstwa.

Dla małolata brzmiało jak wtajemniczenie.

To jest różnica, którą trzeba zrozumieć, jeśli chce się ostrzec młodych. Nie wystarczy im powiedzieć: „to złe”. Oni często wiedzą, że złe. Ale zło bywa opakowane w przynależność, w siłę, w kasę, w opiekę starszych, w poczucie, że ktoś cię wreszcie traktuje poważnie. Małolat nie zawsze szuka tylko pieniędzy. Czasem szuka miejsca. A jak to miejsce da mu ławka z recydywą, to pójdzie za ławką.

Wtedy jeszcze nie czułem, że się w coś zapadam.

Myślałem, że robię swoje. Że jestem sprytny. Że jak będę milczał, jak będę twardy, jak będę słuchał starszych, to dam radę. Człowiek nie wie, że właśnie przejmuje cudze życie, cudze zasady i cudzy koniec. Bo ci starsi z ławki nie siedzieli tam dlatego, że im się udało. Siedzieli tam dlatego, że im się nie udało. Tylko my tego nie rozumieliśmy.

Dzisiaj, jakbym miał powiedzieć coś młodemu, który słyszy od starszego „chodź, zarobisz”, powiedziałbym: najpierw zobacz, jak ten starszy żyje.

Nie co mówi.

Jak żyje.

Czy ma dom, spokój, rodzinę, pracę, twarz człowieka zadowolonego z siebie? Czy siedzi na ławce, pije, opowiada historie i co jakiś czas znika do kryminału? Bo jeśli ktoś sam idzie do dołu, to nie wyciągnie cię do góry. On cię nauczy, jak spadać razem z nim i jeszcze nazwać to honorem.

Ja wtedy patrzyłem na nich od dołu. Dzieciak zawsze patrzy od dołu, nawet jak udaje dorosłego. Widzisz starszego, słyszysz, że siedział, że zna bajkę, że się nie boi, że jak trzeba, to pomoże. Nie myślisz o tym, że on ci nie pokaże normalnej drogi, bo sam jej nie zna albo dawno ją przegrał. Człowiek może być dobry dla ciebie w jednej chwili i jednocześnie pchać cię w złą stronę. To jest trudne do zrozumienia, ale prawdziwe.

Nie każdy, kto poda ci rękę, prowadzi cię do dobrego miejsca.

My wtedy spadaliśmy.

Tylko jeszcze było śmiesznie, młodo, szybko i z pieniędzmi w kieszeni.

Część II. Pierwszy przypał

Rozdział 5. Pierwszy przypał

Pierwszy poważny przypał nie przychodzi tak, jak człowiek sobie wyobraża.

Nie ma ostrzegawczej muzyki. Niebo nie ciemnieje. Nikt nie staje przed tobą i nie mówi: „teraz skończyło się dzieciństwo”. Po prostu nagle widzisz niebieskie światła, radiowóz, czyjąś twarz za szybą i w jednej sekundzie robi ci się zimno w środku.

Do tego momentu człowiek myśli, że ma kontrolę. Że jak coś idzie dobrze, to dlatego, że jest sprytny. Że wie, kiedy uciec, z kim gadać, komu ufać, czego nie mówić. A potem wystarczy sekunda i cała ta kontrola robi się śmieszna. Stoisz jak małolat, którym przecież dalej jesteś, tylko już z dorosłymi konsekwencjami na karku.

Był temat z mieszkaniem. Był kolega z poprawczaka, było gadanie, że jest zarobek, że ktoś coś wystawił, że wszystko ma być proste. Nie będę opisywał szczegółów, bo nie o to chodzi. Ważne jest to, że dla nas to nie było już wtedy coś przypadkowego. To nie był „żart” z łańcuchem przy drzwiach. To było świadome pójście po cudze.

I właśnie wtedy życie zaczęło odbierać swoje.

Kiedy zobaczyliśmy światła, człowiek od razu rozumie, że coś pękło. Serce idzie w gardło, nogi niby idą normalnie, ale głowa już pracuje jak szalona. Kto siedzi w radiowozie? Co powiedział? Czy mnie widzieli? Czy pójda po mnie? Czy matka wie?

W takich sekundach czas jest dziwny. Niby wszystko dzieje się szybko, ale w głowie masz sto obrazów. Klatka. Dom. Mama. Ławka. Wujkowie. Fanty. Ktoś, kto mógł powiedzieć za dużo. Ktoś, kto patrzył. Ktoś, kto zapamiętał. I jeszcze to głupie myślenie, że może się uda, może jeszcze przejdzie, może tylko sprawdzają. Człowiek łapie się każdego „może”, bo nie chce zobaczyć, że koniec już idzie.

To ostatnie pytanie zawsze wracało za późno.

Matka.

Wróciłem wtedy do domu i już coś było nie tak. Policja była u mnie wcześniej. Przeszukanie. Bałagan. Firanka odsłonięta. Ręcznik na grzejniku, a pod nim łapki. Mama zobaczyła i zbladła. Nie trzeba było jej tłumaczyć wszystkiego, żeby zrozumiała, że to nie są zabawki. Powiedziała coś, co zostało mi w głowie: nigdy nie trzymaj takich rzeczy pod własnym dachem. Teraz ci się upiekło, następnym razem już się nie upiecz.

Matki czasem mówią zdania, które brzmią jak proroctwa.

Tylko synowie za późno ich słuchają.

Dostałem lanie, karę na wychodzenie, zakaz zadawania się z kumplami. Dzisiaj ktoś może się uśmiechnąć: kara na wychodzenie dla chłopaka, który już wchodzi w przestępstwa. Ale matka robiła to, co mogła. Nie miała narzędzi, szkoły dla matek złodziei, instrukcji obsługi syna, który kłamie i wpada w świat starszych recydywistów. Miała miłość, strach i bezsilność.

Ja też wtedy grałem swoją rolę. Obiecywałem, kręciłem, udawałem, że rozumiem. W domu robiłem minę skruszonego, a w głowie dalej miałem ulicę. To jest obrzydliwe po latach, ale prawdziwe. Człowiek potrafi patrzeć matce w oczy i kłamać, bo bardziej boi się stracić podwórko niż zranić matkę. Dopiero później widzi, jaki to był syf w głowie.

Potem przyszli.

Ktoś zapukał. Otworzyłem. Policja. Imię, nazwisko, kajdanki. Niby człowiek wiedział, że to może się stać, ale wiedzieć a poczuć metal na rękach to dwie różne rzeczy. W radiowozie dostałem po głowie. Nie będę robił z siebie ofiary niewinnej, bo niewinny nie byłem. Ale przemoc państwa też była częścią tamtych czasów. Oni mieli swoje metody, my mieliśmy swoje milczenie. Dwie strony jednego chorego świata.

Na komendzie papier, zarzuty, przesłuchanie.

Podejrzenia o wiele mieszkań. Słowa, liczby, paragrafy, które dla siedemnastolatka brzmią jak obcy język, ale ciało rozumie jedno: nie wyjdiesz dziś do domu. Wujkowie mówili, że jak złapią, nie przyznawać się. Więc się nie przyznawałem. Odmawiałem odpowiedzi. Mówiłem to, co miałem mówić.

Wtedy w człowieku jest dziwna mieszanka. Strach, wstyd, adrenalina i ta chora ambicja, żeby nie pokazać słabości. Nie myślisz: zrobiłem źle. Myślisz: muszę wytrzymać. Nie myślisz: skrzywdziłem ludzi. Myślisz: nie mogą mnie złamać. I to jest kolejna pułapka. Bo cały temat przesuwają się z prawdy na pojedynek. Już nie chodzi o to, co zrobiłeś, tylko czy dasz radę nie pęknąć.

I zaczęli mnie łamać.

Fizycznie i psychicznie. Pytania, krzyki, uderzenia, teksty, że wszystko wiesz, że kolega powiedział, że po co udaję bohatera. To jest gra, tylko że młody człowiek nie rozumie, że w tej grze stawką jest jego życie. Myślisz wtedy o jednym: nie pęknąć. Nie sprzedawać. Nie dać im satysfakcji. A nie myślisz o tym, że gdybyś nie wszedł w to wszystko, nie musiałbyś udowadniać nikomu twardości.

Po latach nie noszę w sobie wielkiej nienawiści do tamtych ludzi.

Ja byłem po tej stronie, oni po tamtej. Oni robili swoje, ja swoje. Nie znaczy to, że było dobrze. Nie znaczy, że przemoc była normalna. Znaczą tylko, że przez lata nauczyłem się patrzeć na tamto bez dziecięcego zdziwienia. Tak wyglądał świat, w który wszedłem. Brudny po obu stronach.

Dostałem sankcję.

Trzy miesiące na początek. Dla kogoś z wolności to brzmi jak dużo. Dla kryminała to tylko pierwsza kartka w segregatorze. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, ile takich kartek będzie. Nie wiedziałem, że sankcje będą wracały, że wyroki będą się nakładały, że z życia zrobi się rachunek, w którym zamiast pieniędzy liczy się lata.

Sankcja ma w sobie coś podstępного. To niby nie wyrok, niby tymczasowo, niby sprawa się wyjaśni. Ale drzwi zamykają się naprawdę. Matka zostaje na wolności naprawdę. Ty jedziesz naprawdę. I nagle słowo „tymczasowy” brzmi jak żart, bo każdy dzień jest normalnie zabrany. Nie ma tymczasowej kraty. Krata albo jest, albo jej nie ma.

Młody czytelniku, jeśli to czytasz, to zrozum jedną rzecz: najlepiej, żebyś nigdy nie musiał rozumieć tej sceny naprawdę.

Nie sprawdzaj, jaki jest radiowóz od środka.

Nie sprawdzaj, jak brzmią kajdanki.

Nie sprawdzaj, czy wytrzymasz przesłuchanie.

To nie jest test męskości. To jest początek przegrywania życia, tylko na początku człowiek jeszcze nazywa to zasadami.

Rozdział 6. Dołek

Dołek to nie jest jeszcze kryminał, ale wolność już się skończyła.

Tam człowiek pierwszy raz naprawdę czuje, że nie decyduje o niczym. Zabierają pasek, sznurówki, zegarek, pieniądze, to, co masz przy sobie. Każą brać materac, koc, poduszkę, ręcznik. Drzwi się zamykają i zostaje cela, łóżko, stół, ławka, ściany. Niby jeszcze komenda, niby zaraz coś się wyjaśni, ale ciało już wie, że świat się zwęził.

Najbardziej uderza nie sama cela, tylko to, że nagle zwykłe rzeczy przestają być twoje. Sznurówki, pasek, godzina, wyjście do ubikacji, papieros, telefon, sen. Wszystko przechodzi przez czyjąś zgodę. Na wolności człowiek nie myśli, że ma władzę nad sznurówkami. Dopiero jak mu je zabiorą, rozumie, że wolność mieszka też w małych rzeczach.

Światło jest inne. Powietrze jest inne. Materac nie jest łóżkiem, koc nie jest kołdrą, ściana nie jest ścianą w domu. Niby te same słowa, ale znaczą coś innego. W domu możesz odwrócić się do ściany i mieć spokój. Tam ściana tylko przypomina, że jesteś zamknięty.

Na jednym z łóżek leżał facet.

Odwrócił się i zapytał:

- Małolat, grypsujesz?

To pytanie w kryminale potrafi znaczyć więcej niż imię i nazwisko. Ono ustawia cię w świecie. Kim jesteś? Z kim siedzisz? Przy którym blacie jesz? Komu podasz rękę? Co możesz, czego nie możesz, kto cię uzna, kto cię sprawdzi?

Odpowiedziałem, że chcę, bo wujkowie mi tłumaczyli. To był mój pierwszy raz, ale ja byłem pewny. Nie udawałem pewności w swoim odczuciu. Ja naprawdę myślałem, że wiem, gdzie idę. Tak działa młodość. Człowiek zna trzy zdania i myśli, że zna świat.

Powiedziałem to z przekonaniem, bo w głowie już miałem podwórkową naukę. Grypsować. Nie pękać. Nie przyznawać się. Trzymać swoje. Tylko że teoria spod bloku i praktyka za drzwiami to są dwie różne rzeczy. Na wolności możesz mówić, że będziesz twardy. W celi każda taka deklaracja zaczyna kosztować.

Facet poprosił o papiery, biało. Przeczytał, za co mnie zatrzymali, i zaczął tłumaczyć. Nie pucować się, czyli nie przyznawać. Myć ręce po ubikacji. Jeść przy blacie. Uważać, z kim się siedzi. Mówić, że grypsuję. Jak trafię do ludzi pod celę, to mi wszystko wytłumaczą.

Niektóre z tych rzeczy były zwykłą higieną i porządkiem, inne częścią subkultury, jeszcze inne granicą między ludźmi. Wtedy brałem to wszystko jednym pakietem. Jak ktoś mówił „tak trzeba”, to tak trzeba. Nie miałem dystansu. Nie miałem myśli, że może ten cały system, który teraz poznaję, będzie mnie trzymał przez lata jeszcze mocniej niż same kraty.

Siedziałem i chłonałem.

Strach był, ale przykryty czymś innym. Ciekawością, napięciem, głupią dumą, że wchodzę w świat, do którego nie każdy ma dostęp. To był właśnie błąd. Kryminał nie jest światem, do którego trzeba dorosnąć. To jest miejsce, do którego najlepiej nigdy nie wejść.

Pierwsza noc nie była dla mnie jeszcze końcem świata.

Nie dlatego, że byłem taki twardy. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy. Myślałem, że tak leci, że to jest życie, że jakoś będzie. Młody organizm dużo zniesie, młoda głowa dużo wypiera. Człowiek potrafi zasnąć nawet w miejscu, w którym powinien całą noc płakać.

Ale ciało pamięta swoje. Nawet jak głowa udaje bohatera, ciało słyszy każdy krok na korytarzu. Jak ktoś idzie, to nie wiesz, czy po ciebie. Jak zamek pracuje, to od razu patrzysz. Jak ktoś krzyknie, to słuchasz. Wolność kończy się też w uszach. Zaczynasz nasłuchiwać rzeczy, których na wolności nikt normalny nie słucha.

Rano znowu przesłuchanie, znowu pokój, znowu nacisk.

Potem prokurator, postanowienie o areszcie tymczasowym, trzy miesiące. Papier, który dla kogoś z zewnątrz jest decyzją procesową, a dla ciebie jest zamknięciem świata. Jeszcze nie wiesz, że trzy miesiące mogą stać się dwoma latami, że sankcja może ciągnąć się jak guma, że sąd, prokurator, adwokat i terminy będą rytmem twojego życia.

Później sąd, sieczkarnia, kabaryna.

Sieczkarnia - pomieszczenie, gdzie trzymało się aresztowanych. Ludzie czekali na transport, każdy ze swoją sprawą, swoim strachem, swoją pozą. Jeden udawał, że go to nie rusza, drugi gadał za dużo, trzeci siedział cicho. Ja byłem młody i wystraszony, chociaż na zewnątrz trzeba było trzymać fason.

Transport po aresztach w stolicy.

Kabaryna jechała, gdzieś ktoś wysiadał, gdzieś ktoś zostawał, w każdym miejscu kraty, bramy, klawisze, komendy. Mnie zostawiono na końcu. Wsiadłem i zaczęła się właściwa lekcja.

I tu chcę powiedzieć jedną rzecz jasno. Pierwszy dołek, pierwszy areszt, pierwsza cela - to nie jest inicjacja, którą trzeba przejść, żeby być kimś. Tak to wtedy potrafiło wyglądać w głowie małolata. Jak próba. Jak brama. Jak sprawdzian. A prawda jest taka, że to jest ostrzeżenie od życia. Jak wtedy zawrócisz, jeszcze może coś uratujesz. Jak uznasz, że zdałeś egzamin, to zaczynasz iść głębiej.

Ja uznałem, że wchodzę w świat, który trzeba ogarnąć.

I to był błąd.

Pierwszy areszt śledczy to jest jak wejście do języka, którego nikt cię w szkole nie nauczył.

Depozyt, ambulatorium, wywiad, dokumenty, pieniądze na wypiskę, mandzur, cela przejściowa. Wszystko ma swoją nazwę, swoje miejsce, swój zapach. Człowiek dostaje rzeczy, podpisuje, że pobrał, idzie dalej. Niby procedura. A w środku ma siedemnaście lat i udaje, że nie jest dzieckiem.

Cela była obskurna.

Brud, grzyb na ścianach, koja, blat, fikoły, kącik sanitarny bez normalnej zasłony, gier, boleń, hasiok. Wszystko blisko, wszystko cudze, wszystko na oczach. Jak jeden wstał, reszta musiała leżeć, bo robiło się za ciasno. To nie jest przestrzeń do życia. To jest przestrzeń do przetrwania.

I znowu pytanie:

- Małolat, grypsujesz?

Odpowiedziałem, że grypsuję, że chcę grypsować. Pokazałem biało. Człowiek sprawdzał, za co gibam. Powiedział, że papiery są w porządku, ale jest problem, bo oni nie grypsują.

Tłumaczył podstawy, kącik, blat, jedzenie, zachowanie przy wjeździe pod celę. Mówił, że resztę wytłumaczą Git Ludzie.

Tak zaczynała się moja szkoła.

Nie szkoła życia, jak lubią mówić romantycy kryminału. Szkoła straty czasu. Tylko ja wtedy jeszcze nie znałem tego słowa w odniesieniu do siebie.

Rozdział 7. Szamka, szamanie, szamak

W kryminale pierwsze słowa wchodzi w człowieka szybciej niż modlitwa.

Klapę słyszysz, zanim zrozumiesz, że to drzwi. Blat widzisz, zanim zrozumiesz, że to nie tylko stół. Szamka przychodzi, zanim nauczysz się, kto może z kim jeść. Mandżur niesiesz, zanim wiesz, ile razy będziesz go jeszcze zwijał. Grypsowanie przestaje być słowem z opowieści, a staje się systemem, w którym każdy ruch ma znaczenie.

Rano był apel.

Dzwonek, krzyk na prostej, klawisze, klapy. Człowiek musiał być ubrany, koja pościelona, wszystko ustawione jak trzeba. Wtedy jeszcze były szyny, prześcieradło i koc ułożone równo, ręczniki na poręczach, poduszka jak należy. Dzisiaj komuś może się to wydawać śmieszne, ale tam śmieszne rzeczy potrafiły kończyć się źle.

Śniadanie przyszło przez więzienny rytuał.

Weź na swój plater, potem dasz innym, tak tu jest. Cztery porcje giętej, chleb, maryśka, herbata w dołku, jajko na twardo, które miało swoją nazwę w tej całej więziennej poezji brudu. Każda rzecz miała nazwę, każdy przedmiot w celi, każda czynność, każdy człowiek.

Wtedy zrozumiałem trzy słowa: szamak, szamanie, szamka.

Szamak - człowiek grypsujący.

Szamanie - grypsowanie.

Szamka - jedzenie.

Trzy słowa, a za nimi cały świat. Myślałem wtedy, że wchodzę w porządek. Że są zasady, hierarchia, czystość, honor, blat, ludzie i frajerstwo. Dziś wiem, że ten porządek miał swoją cenę. Ale żeby opowiedzieć prawdę, muszę najpierw opowiedzieć, jak ja to wtedy widziałem.

Git w koronie znaczył dla mnie wtedy dużo.

Grypsujący. Inteligentny. Twardy. Korona, czyli królujemy, królowaliśmy, będziemy królować nad frajerstwem i chujostwem w kryminale. Tak to brzmiało w głowie młodego człowieka,

który chciał mieć miejsce, nazwę, symbol, zasady. Dla mnie to nie była zabawa. To była tożsamość.

Bajery się nie uczyło.

Tak się mówiło: uczy się człowiek na błędach. Bajere się przyswajało. Przewijało się ją przy blacie, przy czaju, na spacerze, w gronie ludzi grypsujących. Ktoś mówił fragment, reszta powtarzała, toczka w toczkę. Nie mogło być kopyta, nie mogło być przekręcania. Bajera miała być jedna.

Z dzisiejszej perspektywy widzę, jak bardzo to wciągało.

Bo młody chłopak dostawał coś, czego nie dawała mu szkoła, dom bez ojca, podwórko ani bieda: system. Nagle wiedział, gdzie siedzieć, z kim jeść, komu podać rękę, czego nie robić, jak mówić, jak reagować. Człowiek zamknięty w chaosie dostawał porządek. Nawet jeśli ten porządek był więzienny, twardy i często okrutny, to był porządek.

Najważniejsze zasady?

Higiena. Siebie i miejsca, gdzie siedzisz. Nie donosić. Nie sprzedawać kumpli. Nie pucować się. Przeciwstawiać się frajerstwu i kurestwu. Trzymać twarz. Mieć honor, ambicję i godność.

Tak to wtedy widziałem.

Dzisiaj powiem młodemu tak: jeśli chcesz honoru, ambicji i godności, nie szukaj ich za kratą. Tam za wszystko płacisz za drogo. Możesz być twardy w pracy, w rodzinie, w uczciwym życiu. Możesz nie sprzedawać ludzi, nie kłamać, dbać o higienę, trzymać zasady i nigdy nie wejść do kryminału. To jest dopiero sztuka. Bo za kratą czasem człowiek trzyma zasady, ale już stracił wolność. A wolność jest większa niż każdy symbol.

Wtedy jednak nie myślałem tak.

Wtedy chciałem zaliczyć bajere, być uznany, wejść do wspólnego blatu, przestać być świeżakiem. Chciałem wiedzieć, jak się zachować w każdej sytuacji, żeby wyjść z głową do góry, bez uszczerbku na honorze i ambicji. Tak mi mówili. Tak wchodziło w głowę.

Pamiętam sen o jeziorze.

Cisza, spokój, woda, światło, jakby wolność przyszła do mnie przez sen. A potem gwałtowne przebudzenie, krzyki, pytania o bajere. Musiałem odpowiedzieć toczka w toczkę. I odpowiedziałem. Powiedziano mi, że mogę kimać dalej, ale ja już nie zasnęłam jak wcześniej. Bo kryminał nawet sen potrafi zabrać i przerobić na sprawdzian.

To był mój chrzest.

Nie święty. Więzyenny.

Po takim chrzcie człowiek zaczyna chodzić inaczej.

Nie dlatego, że nagle jest wielki. Raczej dlatego, że wie, że cały czas ktoś patrzy. W celi patrzą, na spacerze patrzą, przy blacie patrzą, na prostej patrzą. Każdy ruch może coś znaczyć. Jak jesz, z kim jesz, gdzie siedzisz, co powiesz, czy się zawahasz, czy zapytasz głupio, czy zrobisz coś nie tak. Młody człowiek w takim miejscu szybko traci naturalność. Zaczyna być rolą.

Ja też stałem się rolą.

Małolat, który grypsuje. Małolat, który chce być przyjęty. Małolat, który musi udowodnić, że nie jest z plasteliny. Na zewnątrz pewnie wyglądało to jak pewność. W środku było dużo napięcia. Bo jak już powiesz, że jesteś taki, to musisz taki być. Nie możesz nagle powiedzieć, że jednak się boisz, że nie rozumiesz, że tęsknisz za domem, że chciałbyś, żeby matka przyszła i zabrała cię za rękę.

Kryminał zabiera chłopcu prawo do bycia chłopcem.

Siedemnaście lat, a musisz grać dorosłego w świecie, gdzie dorośli też często są dziećmi przebranymi za twardzieli. Każdy coś udowadnia, każdy czegoś pilnuje, każdy boi się jakiegoś upadku. Tylko nikt nie mówi „boję się”. Mówi się „uważaj”, „trzymaj twarz”, „nie pękaj”, „nie daj się”. Strach zmienia nazwę i udaje zasadę.

Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystkie zasady były złe.

Higiena, niesprzedawanie, niepucowanie się, pilnowanie porządku - to miało swój sens w tamtym świecie. Problem w tym, że tamten świat sam w sobie był zły. Możesz mieć czyste ręce po ubikacji, a brudne życie na wolności. Możesz nie sprzedawać kumpla, a okraść obcego człowieka. Możesz trzymać blat, a nie trzymać rodziny. Wtedy jeszcze nie umiałem tego rozdzielić.

Bajera dawała mi język, ale zabierała prostotę.

Zamiast powiedzieć „boję się”, mówiłem innym językiem. Zamiast „tęsknię”, było gadanie o zasadach. Zamiast „nie wiem, co robić”, było „trzymam swoje”. Ten język pomagał przetrwać, ale też zamykał. Po latach człowiek musi nauczyć się znowu zwykłych słów. Przepraszam. Kocham. Boję się. Nie umiem. Pomóż. To są słowa trudniejsze niż niejedna bajera.

Wtedy jednak każde nowe słowo więzienne było jak cegła w murze, który sam wokół siebie budowałem.

I co najgorsze, byłem z tego muru dumny.